

Mały

Bardzo dawno temu w krainie natury oddalonej od hałasów cywilizacji, wiecznie spieszących się ludzi i codziennego zabiegania zwierzęta, ptaki i cała przyroda żyły w wyjątkowej harmonii. Zamieszkiwały przestrzeń uroczą, pełną spokoju. Gdziekolwiek płynęły wartkie strumyki gaszące pragnienie wędrowców. Zwierzęta bezpiecznie przechadzały się wśród różnorodnych drzew i napawały śpiewem ptaków zrywających się wesoło do lotu. Krążąc wśród kolorowych liści, wzbijały się wyżej, coraz wyżej, kierując się w stronę ciepłego, kuszącego słońca. Polany zapraszały do wypoczynku soczystą zielenią, a różnobarwne dzikie kwiaty kołysły strudzone

serca. Przestrzeń wypełniał spokój, ciepło i błogość.

Właśnie tam, na wysokości, królowało wielkie, dostojne i niepowtarzalne drzewo. Był to wiekowy, potężny dąb. W jego pamięci zostały zapisane stare, bardzo odległe czasy i związane z nimi historie. Jego korzenie sięgały daleko, bardzo daleko w głąb ziemi. Równie daleko sięgała jego niezawodna pamięć. Od wieków chronił swoją niezachwianą siłą małe, wznoszące się, jeszcze wrażliwe drzewka. Wśród nich jedno się wyróżniało – najmniejszy, najślabszy, niepewny, ciągle dygoczący ze strachu klon. Najczęściej pozostawał blisko starego dębu, podziwiając jego wielkość, moc i mądrość. Przy nim czuł się naprawdę bezpieczny. Wiedział, że jest chroniony i nic, ale to nic nie może mu się przytrafić, stary dąb bowiem zawsze go ochroni.

W dodatku dąb tak wspaniale snuł wieczorne opowieści o dawnych, zapomnianych czasach. A pamiętał tak wiele. Młody klon czuł się



wtedy tak dobrze, spokojnie, bezpiecznie. Marzył, by nigdy, nigdy nie stać się dorosłym, nie rosnąć, pozostać małym przy tym wielkim dębie na zawsze.

– Boję się tego, co mnie czeka tam, u góry – myślał często, nie przyznając się do tego nikomu. – Nic nie wiem o życiu na wysokościach, nic nie wiem o słońcu, które jest tak wysoko. Nie, nie chcę rosnąć – dodawał w skrytości.

Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Minęła wiosna i lato, nastąpiła kolejna jesień. Klon żył dalej w cieniu starego dębu. Słuchał dawnych historii, które wypełniały go mądrością, emocjami, marzeniami, aż usypiał znużony.

Nocą, kiedy jeszcze spał spokojnie w cieniu starego dębu, niebem wstrząsnął przeraźliwy wybuch. Zerwał się przerażający wiatr i łamał na kawałki wielkie, rozłożyste gałęzie, rzucając je z wściekłością to na prawo, to na lewo. Burza bezdyskusyjnie wzięła w posiadanie całą przestrzeń. Potężne konary łamały się jak słabowite patyczki. Korzenie wyrywane były z ziemi

wstrząsanej kolejnymi wybuchami. Drzewa traciły stabilność, nawet te najsilniejsze, najstarsze. Liście wirowały i opadały jak szalone. Ptaki wznosiły dzikie krzyki to w ciemności, to przy kolejnych błyskach piorunów. Pędziły nie wiadomo dokąd. Klon dygotał jak osika, płakał, ale w tym zawirowaniu nikt go nie słyszał. Chciał tylko przeczekać, przebrnąć przez te wybuchy, którym nie było końca. Kurczowo trzymał się dębu przy każdym potężnym porywie agresywnego wiatru. A ten nie przestawał, szalał, wyrwał, zamiatał wszystko, co spotkał na swojej drodze, wciskał się w każdą szczelinę. I wył, mocno, przerażająco. Rozdzierał swoją mocą całą naturę.

Klon drżał całym sobą i czekał. Cekał, uchwyciwszy się dziwacznie powykręcanych gałęzi starego dębu.

Aż wszystko ustało. Nastąpiła cisza.

Klon niepewnie otworzył przestraszone oczy. Rozejrzał się. Milczał zdumiony widokiem takiej nieokiełznanej dewastacji. Pozostał bez

ruchu tylko przez chwilę. Poruszył się niepewnie i puścił gałęzie, których był uczepiony. Przerażony zauważył, że stary dąb został zraniony. Stracił mnóstwo gałęzi, jego korona pochylała się w nienaturalny sposób, na pniu widoczne były liczne głębokie rany. Korzenie wydostały się na zewnątrz, tworząc surrealistyczny obraz. Stary dąb stracił swoją stabilność, przechylał się, nie panował nad swoimi częściami, jakby każda z nich stanowiła odrębną całość.

– Trzeba go podtrzymać, opatrzyć rany, zająć się koroną, by nie opadała – pomyślał klon.

Dotknął czule swojego protektora, bojąc się, by nie sprawić mu cierpienia.

– Co mogę dla ciebie zrobić, stary dębie? – zapytał właściwie samego siebie.

Klon delikatnie, z wyczuciem zajął się najpierw ranami w pniu. Dzień za dniem zmieniał opatrunki. Starał się uporządkować korzenie i na nowo wpuścić je w starą ziemię. Podwiązał też koronę, by stary dąb mógł na nowo spoglądać w słońce, cieszyć się wirującymi ptakami.

Mijał dzień za dniem. Najtrudniejsze okazało się jednak nie uporanie się z ranami ani koroną, ani korzeniami. Najtrudniejszym było wyjaśnienie staremu dębowi, co robią ptaki na niebie, dlaczego słońce świeci w dzień, a nie w nocy, skąd wieje wiatr. Najtrudniejszym było wyjaśnienie staremu dębowi, kim jest. Teraz wieczorami to klon snuł opowieści o dawnych czasach, opowiadał historie z życia sąsiadów.

Na wiosnę stary dąb poczuł się nieco lepiej, nabrał sił, częściej rozmawiał, śmiał się z historyjek z życia lasu. Pewnego ranka obudził go śpiew ptaków. Był w dobrym humorze. Spojrzał na swojego opiekuna z czułością i powiedział:

– Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, co tu robisz przy mnie. Ale cię podziwiam i jestem ci wdzięczny. Przy tobie czuję się spokojnie, bezpiecznie, jak w domu. Proszę, opowiedz mi jeszcze raz tę historię o starym dębie i młodym klonie.

Szary

Tkwimy tu jak na ringu, dzieli nas tylko niewidoczna linia. Które z nas ją przekroczy?

Nie walczymy ze sobą. Obserwujemy się od lat. Właściwie od kiedy pojawialiśmy się na polanie. Nie przypominam sobie, kto przybył jako pierwszy. Ale za to doskonale zapamiętałem mój zachwyty nad nim. Cóż za piękny widok roztaczał się przede mną każdego dnia. Już jako mały źrebak wyróżniał się dostojnością, proporcjonalną budową, wyraźnie zarysowanymi mięśniami, błyszczącą sierścią, bujną grzywą i długim lśnią-cym ogonem. Jak obraz namalowany przez utalentowanego artystę. Za każdym razem, kiedy mu się przyglądałem, aż zapierało mi dech.

A ja, ten z drugiej strony ringu? Też pochodziłem z rodziny koniowatych. Ale miałem duży łeb, długie uszy, a mój cienki ogon zakończony był kitą. Warto podkreślić jeszcze jedno, choć przyznam, nie ma czym się chwalić – od wieków słynę jako symbol głupoty i uporu. Co to za sława?! Głupi jak osioł. Tak, to właśnie ja. Moja skóra jest jasnopopielata, nie zachwyecam urodą, nie okupuję czołowych pozycji na listach idoli.

Wiedziałem o tym od dawna, bo nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Za to koniem zajmowano się bez ustanku. Kiedy był jeszcze źrebakiem, zawiązano mu czerwoną wstążeczkę, zgodnie z tradycją miało go to ustrzec od uroku – żeby był pod ochroną, żeby go to wrodzone piękno nie opuściło.

Źrebak był przepięknej kasztanowej maści. Od dzieciństwa zachowywał się poprawnie. Jadał małymi porcjami, by zbyt gwałtownie nie przytyć. Wykonywał wiele ćwiczeń fizycznych. Stale pokazywano mu, jak ma się poruszać, by wyglądać okazale.

Nie to co ja. Nie miałem takich aspiracji. Pochłaniam gałązki drzew, korę, trawę, zioła, chwasty, a na deser jeszcze marchewkę i jabłko. Nie grymaszę, bo lubię sobie podjeść i mieć dobrze napchany brzuszek. Oczywiście miewam tendencję do tycia.

Żrebaka od początku uczono kontrolować posiłki i nie tylko, kontrolował właściwie każdy krok. Posłusznie wykonywał kolejne polecenia. Później stało się to jego codziennością. Starannie planował, by się nie objadać, by nie spać za długo, by regularnie biegać po polanie. Krok po kroku uzależniał się od decyzji innych.

Tak mu się marzyła wielka scena. Chciał światła reflektorów, luksusu, uznania, chciał poznawać nowe miejsca. Jeszcze wtedy nie wiedział, że to ciągła, męcząca praca połączona z wieloma wyrzeczeniami. Wymagano od niego samodyscypliny, zdecydowania, odporności na stres. Ja mam to naturalnie w sobie, ale wystarczy popatrzeć w lustro, by stwierdzić, że moja uroda pozostawia wiele do życzenia.

Właściwie nie jestem brzydki, tylko trochę nieładny.

Mój zachwyty przenosiłem zatem na żrebaka, który szybko męźniał, rósł i każdego dnia stawał się jeszcze bardziej lśniący. Niestety, coraz bardziej uzależniał się od innych. Czesali go, masowali, strzygli i układali grzywę, ogon. Poprawiali jego kroki, gesty.

Pamiętam, jak jednego wiosennego poranka nogi zaplątały mu się w sznurek od siana. Biedak wpadł w panikę. Nie wiedział, co robić. Szarpał się jak narwany, aż się poranił. Pod wpływem tego impulsu wierzgał, gryzł. Bezmyślny. Refleksja pojawiła się później. Ale ile niepotrzebnie straconej energii?! Zawsze tak reagował pod wpływem stresu. Przewidywalny. Ja czekałbym na pomoc. Spokojnie, bez paniki. Przez lata nauczyłem się najpierw analizować, później reagować. Współczułem temu miotającemu się nieszczęśnikowi.

Wprawdzie mówią o mnie: uparty, ale ja wolę: indywidualista, lepiej brzmi. Potrzebuję



wolności, mam silną potrzebę wałęsania się, odkrywania świata na mój własny sposób. Jestem wyczulony na własny komfort. A już na pewno nikt nie może mieć kontroli nade mną. Nie cierpię tego. Za to można mnie namówić, przekonać. Rozmowa ze mną to swoisty intelektualny pojedynek. Tak, tak, nieraz słyszałem, że jestem twardą, charakterną istotą. Jeśli nie będę chciał, to nie drgnę z miejsca. Nieźle się muszą ze mną namęczyć, żeby namówić mnie do czegokolwiek. Mój legendarny upór często króluje.

Mówi się: głupi, uparty osioł. Krzywdzące. Niewielu wie, że jeśli zostanie się ze mną długo, bardzo długo, poświęci mi się czas, zaprzyjaźni się. Tak naprawdę nie lubię samotności. Nigdy nie akceptowałem fatalizmu Kłapouchego.

Dlatego tak przyzwyczailem się do codziennych spotkań ze źrebakiem. Lubilem na niego patrzeć. Podziwiałem jego wysiłki, by pozostać pięknym. Mój towarzysz bardzo, bardzo się starał.

Nieustannie się mierzył. Mówił, że musi mniej jeść, a więcej się ruszać. Ciągłe przeglądał się w lustrze. Przekręcał na lewo, na prawo, by lepiej widzieć. Stale niezadowolony z siebie. Widziałem to w jego ślepiach. Konie zbyttnio pokazują swoje emocje. Tak łatwo je wtedy zranić.

Mój opiekun musi się we mnie wsłuchać, by odkryć, co czuję. Atak też przychodzi mi łatwiej niż koniom. Te akceptują swoje poddanie, wręcz niewolnicze traktowanie. Ja doprowadzam przeciwnika do konsternacji. Zastygam bez ruchu i już. Nie można mnie podporządkować. Z osłem nic na siłę. Głupotę ma wpisana w osobowość. Nie musi nikomu nic udowadniać. Jest, jaki jest. Oczywiście szary. Ale przeciętny nie jestem. Nie uczynię niczego, co jest sprzeczne ze mną. Poza tym nie mam zbyttnich ambicji. Ale mój towarzysz posiadał je aż w nadmiarze. Nawet kiedyś zastanawiałem się, czy nie są zbyttno wygórowane.

Znowu patrzę na konie. Od jakiegoś momentu jest ich zdecydowanie więcej. Przywieziono

je dużymi pojazdami. Wszystkie wyróżniają się urodą: dostojne ogiery, zgrabne klacze, białe – ślubne. Przyglądam się im bacznie. Mierzą je, badają, dotykają grzyw, ogonów. Każdy jeden piękniejszy. Skryłem się za krzakami, by mnie nikt nie przegonił. Szary osioł.

Przedemną rozgrywa się niecodzienny spektakl. Mój towarzysz dzieciństwa powrócił na swoje stare tereny. Dawno tu nie biegał. Chciał pokazywać się w świetle reflektorów. Teraz paraduje tu wśród innych. Właściwie bardzo się zmienił i chyba bym go nie rozpoznał – zmizerniał i stracił swój błysk w ślepiach. Ale to ciągle jego oczyska. Jakże mu współczułem. Widać, że codzienna rutyna, proza życia go przytłacza.

Rozpoczęto przygotowania do pokazu. Koń swoim zwyczajem wstał bardzo wcześnie. Jak zwykle niewiele zjadł, następnie przebiegł kilka rundek. Z daleka prezentował się niesamowicie. Później zaczęto go czesać, wklepywać pomady, modelować grzywę i ogon. Na koniec przypominał sobie doskonale wyuczone gesty.

Włączono reflektory, zabrzmiała dynamiczna muzyka. Wszędzie biegali organizatorzy, wykrzykując nerwowo kolejne polecenia.

Świat popularności nęci, zaprasza. Marzenia o sławie, zdjęciach do katalogów, zainteresowanie dziennikarzy.

Przybyło mnóstwo miłośników, widownia zapelniała się błyskawicznie. Czuło się gorącą, ekscytującą atmosferę.

Obserwuję to poruszenie z ukrycia. Czekam na występ mojego towarzysza dzieciństwa. W końcu pojawia się na scenie w świetle reflektorów. To jego moment, jego chwila. Zastygam w bezruchu, nawet w napięciu wstrzymuję oddech.

Wkracza na arenę. Stąpa powoli, dostojnie. Dumnie unosi łeb. Drobną przebiera błyszczącymi kopytami. Piękny! Mam ochotę krzyknąć, głośno wyrazić swój zachwyt. Taki jestem dumny.

Pokaz trwa. Jego oczy zaczynają błędzić po widowni, po polanie, błędzą smętnie, choć

kopyta wykonują standardowe ruchy. Jakby nieobecny. Zmęczony? Wyczerpany? Smutny?

Z boku dochodzą mnie szepty, że za chudy, że grzywa w nieładzie i bez wyrazu spada mu na ślepią. Niektórzy nawet śmieją się szyderczo. Mówią, że chodzi, za bardzo zarzucając zad w prawo. A miało być równo. Pomada na napiętym cielsku błyszczący zbyt mocno.

Biedak udaje, że nie słyszy. Ale ja dokładnie widzę jego spojrzenie, skrywane przed publicznością reakcje. Ślepią zieją smutkiem, zwiesza łeb coraz niżej w ponurej rezygnacji. Przeczuwam jego pragnienie ucieczki, zamknięcia się w boksie.

Jak dobrze, że nigdy nie chciałem być inny.

Poczekam na niego na naszej polanie, aż skończy się cały ten cyrk. Dam mu podjeść jabłko albo marchewkę, zresztą, co będzie wołał.